

Od autora: Saudade to obecność nieobecności. Pragnienie kogoś lub czegoś, co wspominamy czule, ale wiemy, że prawdopodobnie pozostanie tylko w naszej przeszłości. Głęboka emocja, która jest jak połączenie smutku ze wzruszeniem. Pozostawia nas ze słodko-gorzkim smakiem czegoś, co nigdy nie nadejdzie, chociaż wciąż żywimy nadzieję.

Dziwny to był dzień, kiedy stary, zardzewiały klucz zniknął w czeluściach zamka i po dłuższej chwili mocowania, podczas których solennie sobie obiecywał, że coś z tym zrobi, przekreślił klucz, by po chwili przekroczyć próg domu.

Emil czuł wówczas, jakby przenosił się w inne, lepsze czasy. Jak przez zakurzoną szybę nostalgii spoglądał na chłopców wspinających się na pochyle drzewo, rosnące nad rzeką Srebrną, by ukryć się wśród liści i obserwować dziewczęta, kąpiące się po drugiej stronie. Co się wówczas z nimi działo, wiedzieli tylko oni i nawet ksiądz podczas spowiedzi, nie był w stanie wydobyć z nich tych małych tajemnic. Tajemnicy poliszynela, jak się z czasem okazało. To była taka gra. Im się wydawało, że dziewczęta nie słyszą ich szeptów i śmiechów, a one po prostu grały, niby niczego nieświadome, ukazując skrawki dojrzewających ciał i dobrze się przy tym bawiąc.

Niewiele się tu zmieniło, od ostatniego razu, kiedy jeszcze żyła matka. Te same kuchenne sprzęty, meble, zakurzone półki z książkami, tymi, które w dzieciństwie i młodości uwielbiali czytać. Nikt ich nie wyrzucił, chociaż matka często się odgrażała, że to zrobi. Stary bujany fotel, w którym kiedyś siadywał dziadek, potem ojciec, wciąż stał w salonie. Jego pokój, który, zanim wyfrunął w świat dzielił z młodszym o trzy lata bratem, nie przypominał tego, który pozostał w pamięci.

Ponad dwadzieścia lat, szmat czasu. Świat się zmienił, on też. Kiedy widział po raz ostatni matkę, stała na progu domu, wołając:

- Emil, Emil!!! Nie odchódź!!! – lecz on szedł, udając przed samym sobą, że nie słyszy. Potem, niemal każdej nocy słyszał jak go woła, a on nie może się odwrócić, choćby bardzo chciał.

Przychodził tu niby ten sam, a jednak wciąż coś się w nim zmieniało. Sny rozrastały się, stawały się coraz dłuższe, bardziej wyraźne, te miasta, w których jak ptak zmęczony drogą przysiadł na chwilę, odbijały swoje piętno w jego duszy i tylko kobiety przychodziły i odchodziły a on wciąż nie mógł znaleźć ukojenia, tkwiąc w tym przemijaniu niewzruszony niczym głaz.

Spał w swoim starym pokoju, teraz jak reszta domu, należącym do ciszy i pustki. Nikt z rodzeństwa nie chciał mieć z nim nic wspólnego. Bracia poróżniali się po świecie, próbując wymazać z pamięci rodzinny dom i tylko on jeden przyjechał pożegnać matkę.

- Zbyt wiele złego się tu wydarzyło, bym mogła zamieszkać w nim z moją rodziną – powiedziała mu Julia w dniu pogrzebu, na który przyleciał samolotem, choć jako marynarz wolałby przylecieć statkiem, prosto z Portugalii. Jedyne siostra, z jaką przez te wszystkie lata miał kontakt. Julia, drobna dziewczynka, jaką zapamiętał w dniu wyjazdu, stała się piękną kobietą. Wysoka, szczupła, przypominała matkę, nie tę złą kobietę, która rządziła domem twardą ręką, lecz tę dziewczynę ze ślubnej fotografii, uśmiechniętą i szczęśliwą. Kiedy jej to powiedział, dojrzał w jej oczach panikę.

- Robię wszystko, by nie być jak ona – powiedziała a głos jej się załamywał – muszę przerwać ten cholerne łańcuch nieszczęść – spojrzała na córkę, dziesięciolatkę, która chowała się za nią, jakby się wstydziła nieznanego wujka.

Nie był w stanie stwierdzić, czy mówi prawdę. W listach można pisać co się chce, papier przyjmie wszystko. Czerwona lampka zapaliła mu się w głowie, kiedy poznał jej męża. Niższy o głowę od niej, wąty z zapadniętą klatką piersiową i głosem młodego chłopca, który przechodzi mutację. Kazimierz Noga. Nazwisko odpowiednie do osoby, jak czasem z niego drwiła, sama pozostając przy panieńskim, Hołosko. Nie znał go. To nie był ktoś stąd ani z okolic. Poznała go, kiedy przyjechał na wakacje do ro-

dziny Gasiuków. Kiedy poznał Julkę, zakochał się jak sztabak, a był już przecież studentem trzeciego roku geodezji a ona właśnie skończyła technikum odzieżowe. Emil spojrzał na nią z wyrzutem, lecz ona wzruszyła tylko ramionami.

Historia się powtarzała. Już to wiedział. Będzie dokładnie to samo. Przypomniawszy sobie słowa matki, gdy zapytał, dlaczego gardzi ojcem:

- Moja matka za nic miała ojca, traktowała go jak szmatę. Była wysoką kobietą, nieco pochyloną do przodu, chyba po to, by ta różnica między nią a dużo niższym ojcem, nie była aż tak widoczna. Pogardzała nim za jego słabość i niezaradność. Moja babka to robiła, matka i ja robię to samo. To jest po prostu w naszych genach. Jesteśmy silne kobiety a mężczyźni wybieramy słabych. To samo będzie robiła jej córka – skinęła głową w kierunku, gdzie siedziała nieświadoma niczego Julia, wówczas mała dziewczynka bawiąca się lalką.

Tak rozmyślał, kiedy obudził się przed świtem, gdy noc jeszcze królowała i patrzył na uśpione domy Maciejówki, na dachy połyskujące delikatną poświatą księżycy i sprawdzał, czy wszystkie gwiazdy są na swoim miejscu, jak to robił w dzieciństwie.

Potem wstał, wyszedł do kuchni, zapalił gaz, postawił czajnik i poszedł do łazienki, gdzie długo siedział na sedesie, przeglądając stare, pożółkłe gazety. Tak robił dawno temu, w tamtym życiu, kiedy wiedział, że za drzwiami czeka kolejka braci i przebierają nogami a matka krzyczy, wychylając głowę z kuchni na przedpokój, żeby lepiej ją było słyszeć, żeby się pospieszył, bo spóźni się do szkoły.

Lubił ją prowokować. Im był starszy tym stawał się bardziej krnąbrny. Nie wyrósł jak kobiety w tej rodzinie. Był najniższy z trzech braci, ale rozrośnięty w barkach i bardzo silny, co było pomocne, gdy wyjechał na wybrzeże. Najpierw pracował przez rok przy połowie śledzi, by potem przez siedem lat pływać na kontenerowcach. Siła i spryt, często ratowały mu życie.

Matka, odkąd pamiętał miała ojca za nic. Jej wielka postać górowała nad nim, przytłaczała go i niszczyła, każdego dnia wciąż od nowa, a on zamykał się w sobie coraz bardziej, aż w końcu zamknął na dobre. Jego wątłe ciało, skurczyło się jeszcze bardziej, a ona rosła i rosła, wypełniając sobą cały dom. Bał się jej nie tylko ojciec, ale i reszta rodzeństwa, wyjątkiem był tylko on, hardy i pewny siebie. Nie ustępował jej ani na krok, bronił tego, co było dla niego ważne i chyba tym jej najbardziej imponował. Nie raz i nie dwa oberwał za to solidne lanie a mimo to, wciąż nie ustępował. W nastolatku zobaczyła mężczyznę, który wie czego chce od życia w przeciwieństwie do męża, nedoradcy życiowej jak na niego mówiła, często przy rodzinnych zjazdach, powodując konsternację wśród ciotek i milczących wujów.

Stół, przedzielony ukrytą pod obrusem lub ceratą granicą, dzielił ich matkę i ojca coraz bardziej. Siadali po obu jego stronach, matka jak wojska okupujące twierdzę, atakująca niestrudzenie słowami a ojciec, broniący się milczeniem, które wrosło w niego i stało się nim samym. Wydawał się nieobecny, czym doprowadzał wojska okupanta do szału. Wówczas wstawał i wychodził, zostawiając parujący talerz zupy.

Czajnik zagwizdał jakby chciał, żeby się pospieszył.

Zasypał kawę i zaczął przeglądać szafki w poszukiwaniu cukru, lecz nic nie znalazł. Nie lubił gorzkiej kawy, ale nie chciało mu się iść do sklepu po cukier, chociaż wiedział, że i tak będzie musiał, bo nie ma nic na śniadanie.

Przez okno wdzierał się już lipcowy blask poranka. Patrzył na szyby tak, jak kiedyś patrzył na rzekę, gdy różowiła w pierwszych promieniach zachodzącego słońca. Dotychczas leniwa i spokojna, jakby budziła się do życia. Jasna różowość światła załamywała się na drobnych falach, uderzających o pomost i kołyszących łódki. Ryby wyskakiwały ponad taflę wody, jakby chciały się nacieszyć tą chwilą, kiedy strudzona upałem ziemia zaczyna oddychać z ulgą, parując a wiatr gwizdał w trzcinach. Bali się tej chwili najbardziej, nawet bardziej niż samych ciemności, w których poruszali się bez większych problemów, znając tu każdą ścieżkę.

Kiedy pojawiał się pierwszy gwizd, pośpiesznie zbierali ubrania i biegnąc, ubierali się. Wiejski głupek o twarzy Chrystusa, zwany Borykiem, tak często im powtarzał, że właśnie wtedy budzą się utońce, strzygi,

ruszałki, wiły czy chmurniki, które zawsze zwiastowały nadejście burzy, że jego słowa wryły im się w pamięć i nawet teraz, będąc dorosłymi ludźmi pamiętają o nich, choć czasem się uśmiechną pod nosem na te wspomnienia.

Biegli i biegli, nie odwracając się. Słyszeli niespokojne rzenie koni, porykiwanie krów dolatujące ich z drugiej strony rzeki i biegli jeszcze szybciej, aż tchu brakowało w piersiach. Wpadali w ciszę łąk i pól a wówczas wybuchali śmiechem, przewracali się, tarzając wśród wysokich traw. Wiedzieli już, że żadne strzygi czy chmurniki nie skoczą im na plecy. Podrywali się i biegli, aż wpadali do wsi, przeciągając kijami zebranymi po drodze do obrony po mijanych płotach, wzmagając tym wściekle ujadanie psów.

Potem zapadali w pół sny wśród wymiętej pościeli, budząc się co chwila i naciągając na głowę kołdry, ale o tym nikt nie musiał wiedzieć.

Wyszedł na wieś. Musiał kupić coś do jedzenia, papierosy, kawę, bo ta, którą znalazł, zwietrzała. Od biedy wypił, ale drugi raz już by tego nie zrobił. Szedł dobrze znanymi ścieżkami i rozglądał się w poszukiwaniu czegoś co mogłoby go zaskoczyć, lecz niewiele się tu nie zmieniło. Sklep w środku wsi, jaki pamiętał z dzieciństwa, nadal tam stał. Nawet kolor był ten sam – żółty, może dlatego by był widoczny z daleka.

Wracając spotkał Julię, która wracała, od przyjaciółki której córka wychodziła za mąż i Julia musiała wziąć jej wymiary. Przypomniała mu, że dziś o jedenastej w mieście mają być u notariusza na otwarciu testamentu.

- Jak chcesz to podjedziemy po ciebie i pojedziemy razem.

Podziękował, ale pojedzie pekaesem za godzinę. Wie gdzie to jest, będzie na czas. Spojrzała na niego uważnie i zapytała, czy jej unika.

- Dlaczego miałbym cię unikać. Jadę wcześniej, bo chcę jeszcze zajrzeć do Domu Handlowego.

Kiedy wrócił do domu, usiadł w bujanym fotelu, zapalił papierosa, chociaż coraz częściej myślał o tym, by rzucić palenie i zastanawiał się, co teraz ma robić. Matka go zaszachowała. Przypomniały mu się słowa, jakie kiedyś do niego wypowiedziała, gdy będąc w wieku córki Julii, Marysi powiedział kiedyś do niej w nerwach:

- Ja i tak stąd ucieknę, jak tylko dorosnę. Wyjadę na drugi koniec świata, żeby uciec przed tobą.

- Nawet gdybyś uciekł w najdalszy zakątek świata, nigdy nie zapomnisz o swojej matce. To jest po prostu niemożliwe. Ode mnie się nie da uciec – mówiła prawie basem, pochylając się nad nim, skulonym ze strachu w kącie pokoju.

Miała rację. Prawie każdego dnia myślał o niej. Myślał o tym, że gdyby pozostał w domu a nie szukał swojego miejsca na ziemi, wszystko potoczyłoby się inaczej. Odmieniłby losy całej rodziny. Bracia nie poszliby w jego ślady, rozjeżdżając się po świecie, każdy w inną stronę a Julka nie wysłaby pospiesznie za mąż, ledwo poznawszy przyszłego męża. Kazimierz Noga pracował jako urzędnik miejski a Julia dwa lata temu założyła w tym samym mieście niewielki zakład krawiecki i zarabiała dużo lepiej od męża, przez co miała argumenty, według jej mniemania, by nazywać go nieudacznikiem.

Spojrzał na zdjęcie matki, stojące na honorowym miejscu w samym sercu meblościanki, za szybą. Wydawało mu się, że się do niego ironicznie uśmiecha z tej fotografii. To jest matka, jakiej już nie znał. Włosy przyprószone siwizną, wąskie usta zaciśnięte w pół uśmiechu, chyba lekko pociągnięte szminką, czego też wcześniej nie widywał a może nie zwracał po prostu na to uwagi. Zresztą, dla kogo miała się malować? Dla męża, który pewnego dnia wyszedł z domu i ślad po nim zaginął? Wydawało się, że on już dla niej nie istnieje, jest jak powietrze a przecież kiedyś musieli się kochać, bo skąd by się wzięło czworo dzieci na świecie, podobnych do siebie, do matki i do ojca tak, że nikt nie mógł powiedzieć, że to dzieci listonosza czy też sąsiada.

Ojca tego dnia widziano wieczorem, jak szedł srebrną ścieżką, jak mówili ludzie ze wsi na dróżkę przecinającą łąki i wiodącą do rzeki, gdzie skręcała w prawo, i dalej wiła się wzdłuż niej, by zginać gdzieś w leśnym dukcie.

Szukali go przez kilka dni. Cała wieś szła, jeden obok drugiego, nawołując po imieniu:

- Józef!!!, Józek!!! – lecz tylko cisza im odpowiadała. Emil szedł razem z nimi. Ledwo skończył osiemnaście lat i musiał wydorosnąć w ciągu kilku godzin. Szedł w milczeniu obok innych, w głowie rozgrywając wydarzenia ostatnich tygodni i nie mógł sobie wybaczyć, że nie zareagował jakoś bardziej stanowczo i stchórzył przed nią. Ciągle wracała do niego scena sprzed dwóch lat, kiedy wydawało mu się, że jest już na tyle dorosły i silny, że może jej się przeciwstawić. Matka udzielała ojcu papierosów. Siedziała za stołem i cięła jednego po drugim nożyczkami na trzy części, by mu je dać, ale tylko wtedy, gdy uznała, że zasłużył by zapalić. Odezwał się wówczas, że to niehumanitarne, tak kogoś traktować, udzielając mu papierosy, jedyne jego szczęście jakie mu pozostało, jak udziela się psu odrobinę mięsa:

- Traktujesz go gorzej niż psa! – wykrzyknął w jej kierunku, wstając.

- Nie trzeba, synku – cicho odezwał się ojciec.

Krew się w nim zagotowała i czuł jak mu się pięści zaciskają. Matka wstała. Wysoka i groźna, podeszła do niego i tak go trzasnęła otwartą dłońią w ucho, aż upadł. Bracia doskoczyli i złapali ją pod pachy, próbując odciągać, ale strząsnęła ich jak się strząsa krople deszczu z włosów.

Wstał, ale się zachwiał. Poczuł jak ojciec bierze go pod ramię i sadza na krześle. Skulił się, widząc jak matka znów podchodzi, ale zatrzymują ją w miejscu słowa ojca:

- Tylko spróbuj, a nie ręczę za siebie – widział jak ojciec zaciska pięści. Spojrzała na niego jakoś inaczej, jak na innego człowieka, lecz po chwili zaśmiała się i wyszła.

Ojca nigdy nie odnaleziono. Ktoś mówił, że widział go na targu w mieście, komuś innemu jego twarz mignęła za szybą autobusu, ale najczęściej było takich, którzy twierdzili, że to sprawka utopców, wilów albo samego chmurnika. Wieś pod tym względem nic się nie zmieniła. Stawiano nowe kapliczki, strugano nowych świątków, poświęcano domy, obory, samochody, ale ludzie nadal wierzyli, że zmory zaplatają koniom misterne warkoczyki na grzywach i ogonach, a utopce porywają ludzi. Sam kiedyś słyszał, jak wieczorem sąsiad, który czasem do nich zaglądał zimową porą, opowiadał jak jeden taki, co mieszka w Jędrzejówce opowiadał mu na targu, jak to strzyga dopadła jego konia, Kasztana. Było to lipcową nocą, kiedy olbrzymi księżyc wisiał na niebie, ale to tak olbrzymi, że gołym okiem można było dostrzec na nim kratery, a on był jeszcze подростkiem. Obudziły go jakieś odgłosy dobiegające ze stajni, jakby koń kopał w ścianę i dziwne ujadanie psów. Nie budząc nikogo, wyszedł przez okno, wziął ze sobą psa, który zawsze chodził z nimi na polowanie i z sercem które podeszło mu do gardła, zakradł się pod stajnię i otworzył jedną połowę drzwi. Światło księżyca było wystarczające, by ujrzeć to, co się działo w środku. Kasztan stający dęba i kopiący tylnymi nogami w ścianę, jakby chciał ją za wszelką cenę rozbić i uciec, cały zgrzany i spieniony a na nim jakiś cień, coś, co sprawiło, że włosy mu dęba stanęły a pies uciekł z podkulonym ogonem, popiskując jakby go ktoś kopnął. Poczuł jak ktoś go odpycha i krzyczy:

- Przynieś szybko wody!!!

To ojciec, którego obudziły hałasy. Pobiegł szybko, naciągnął wody, a kiedy wrócił, zobaczył jak ojciec, nie świecąc światła, okłada batem to coś, ten cień, ale tak, że bat nawet nie dotknął konia. Po kilku minutach złapał wiązkę siana, skręcił ją, zanurzył w przyniesionej wodzie i zaczął wycierać nią mokrego od potu i spienionego konia. Potem przybił tę wiązkę słomy do ściany. Grzywa i ogon były tak poplątane, że trzeba było je obciąć. Do rana był już spokój. Czuwali przy Kasztanie, próbując nie zasnąć a to rozmawiając, a to śpijąc, ale kiedy pierwsze promienie słoneczne wdarły się do środka, z przerażeniem zobaczyli dziewczynę w koszuli nocnej, z przybitym grubym warkoczem do ściany. Była to chora psychicznie Bożenka, którą wszyscy dobrze znali z tego, iż była nieszkodliwa i lubiła się z dziećmi bawić. Przez jej twarz przebiegała czerwona pręga jak po uderzeniu batem.

Zgaślił papierosa, wstał i otworzył okno. Lipcowy dzień wdarł się do środka, zalewając słońcem pokój. Politurowane meble zabłysły na chwilę jak za dawnych, dobrych lat.

Usiadł z powrotem w fotelu i patrzył jak kurz unosi się nad podłogą, wiruje i lekko opada.

Niewielki ogródek, w jakim kiedyś rosły wysokie krzewy malin, ogórki, pomidory, których smaku do-

szukiwał się w tych najbardziej nasłonecznionych z Włoch, Hiszpanii czy Maroka, nigdy nie miały smaku tych ogródkowych. Teraz suche badyle krzewu malin sterczały ponad chwastami, co stanowiło bardzo smutny widok.

Matka postawiła go przed faktem dokonanym. Cały dom z dużym ogrodem zapisała na niego i tylko na niego. Nikomu nic więcej, wszystko jemu.

Zaskoczyło go to bardzo. Tłumaczył się przed siostrą, kiedy siedzieli w kawiarni po odczytaniu testamentu, że on przecież nic od niej nie chciał, nie po to przyjeżdżał.

- Czuję się, jakby znowu dała mi w twarz, dobrze się przy tym bawiąc.

- Nie miej sobie nic do zarzucenia. Dobrze wiedziałam, że tobie wszystko zapisze. Kiedy leżała w domu po wylewie a ja się nią opiekowałam, ciągle powtarzała, że ty jesteś jej ukochanym dzieckiem i tobie wszystko zostawi. Nie było dnia, żeby nie wołała twojego imienia, nawet przez sen. Powiedziała, że zmusi cię, żebyś tu wrócił. Ty byłeś jedynym z nas wszystkich, który się buntował i jej przeciwstawiał i za to właśnie cię szanowała. Pamiętaj, że przez rok musisz tu mieszkać i doprowadzić dom do stanu używalności no i nie zapominaj o ogrodzie. Ziemi jak dobrze wiesz nie ma. Sprzedała wszystko, kiedy została sama. Dom możesz sprzedać dopiero po trzech latach. Jeśli złamiesz te postanowienia, wszystko przejdzie na gminę. To i tak lepiej, niż na kościół.

- Tak, można powiedzieć, że znów postawiła na swoim. Na szczęście nigdzie nie osiadłem na stałe, jestem wolny jak ptak. Będę musiał jeszcze wrócić do Lizbony, zdać mieszkanie i pozamykać wszystkie sprawy. Cóż, mogę spróbować, ale niczego nie obiecuję.

Julia, która zamieszkała w mieście, nie miała do niego żalu, zresztą jak reszta rodzeństwa. Wyfrunęli stąd i stali się innymi ludźmi. Teraz ani myślą o powrocie.

Po rozmowie z siostrą i małomównym szwagrem, który był tam chyba tylko po to, żeby uregulować rachunek, o który zresztą Emil prawie posprzeczał się z Julią, kto ma go zapłacić, udał się do fryzjera. Wczoraj przyjechał tuż przed ceremonią i nie miał na to czasu. W dzieciństwie wszystkim im włosy obcinała matka. Chłopców, ręczną maszynką na krótko, prawie do skóry a córce zaplatała coraz dłuższe warkocze.

Kiedy uciekł z domu i wreszcie, po dłuższym poszukiwaniu znalazł pierwszą pracę, przy rozładunku wagonów z węglem za pierwszą wypłatę poszedł do fryzjera i kazał się ładnie ostrzyć i ogolić, choć tak naprawdę nie było jeszcze z czego.

Siedział wygodnie rozparty w fotelu, fryzjer otulał go w pelerynę, mającą za zadanie uchronić ubranie przed deszczem ścinanych włosów i w lustrze obserwował staruszkę, cierpliwie czekającą na swoją kolej. Miała zbolący wyraz twarzy i pomyślał, że może jej coś dolega, gdy fryzjer damsko – męski Zdzisław Klapkiewicz zapytał:

- Co u pani słyhać, pani Zofio. Jak się czuje mąż?

- Wczoraj oddałam męża do domu opieki. Po sześćdziesięciu latach wspólnego życia przestaliśmy być jednością – twarz jej się jeszcze bardziej wykrzywiła i wydawało się, że za chwilę wybuchnie płaczem:

- O, Boże. Jest mi niezmiernie przykro – fryzjer damsko – męski Kazimierz Klapkiewicz odłożył nożyczki i podszedł do stałej klientki. Usiadł obok, pogładził staruszkę po ręce i powiedział:

- Jeżeli pani w czymkolwiek potrzebuje pomocy, proszę się nie krępować, tylko mówić. Jestem zawsze do usług.

Emil pomyślał, że to nieco dziwne, to całe zamieszanie. Fryzjer, który ledwo zaczął mu strzyć włosy, zostawia wszystko, by pocieszać jakąś staruszkę.

- Franek, przynieś szklankę wody dla pani Zofii, tylko na jednej nodze – zwrócił się do młodzieńca zamiatającego podłogę z niewidzialnych włosów.

- Nie do pomyslenia w wielkich miastach, gdzie sąsiad nie zna sąsiada, ale tu jest to normalne – sam nie wiedział, czy go to zaskoczyło, czy raczej czegoś takiego się spodziewał właśnie tu, w tym miejscu.

Obudził się o czwartej rano, w czarnej godzinie rozpacz i myślał, że to wszystko nie ma sensu, całe to jego dotychczasowe życie. Chyba czas już osiąść w jakimś porcie i zapuścić korzenie.

Rano znów musiał się udać do miasta, by odebrać skrzynię z rzeczami, jakie nadał z Lizbony, gdzie mieszkał przez ostatnie trzy miesiące mając się różnych prac, kiedy to znudziło mu się pływanie. Aby wrócić z tą skrzynią do domu, musiał poprosić siostrę o pożyczenie Żuka razem z kierowcą, bo co prawda miał prawo jazdy, ale nie chciało mu się wracać, by go oddać, a potem jeszcze trząść się w pekaesie. Zostawił u Julii prezenty dla niej, szwagra i Marysi, a potem z ulgą, jak gdyby wracał z długiego rejsu, wrócił do domu, jak znów zaczął go nazywać w myślach. Szofer zadowolili się Żytnią, pieniędzy nie chciał.

Kiedy rozpakowywał skrzynię w kuchni, układając na stół kawę, której zapach zaraz wypełnił cały dom, ktoś zapukał do drzwi. Zdziwił się, ale pomyślał, że może kierowcy wydaje się, że należy się coś więcej i zanim powiedział proszę, sięgnął po portfel.

Drzwi się otworzyły i stanęła w nich jakaś kobieta. Dał jej trzydzieści lat, choć mogła być równie dobrze i starsza i młodsza. Szczupła z pięknymi czarnymi włosami upiętymi w kok i ciemnymi, prawie czarnymi oczami, które teraz mu się bacznie przyglądały.

- Ładna – pomyślał – kogoś mi przypomina.

- Dzień dobry Emilu. Nie poznajesz mnie? Tyle czasu minęło odkąd wyjechałeś. Ile to już lat? Piętnaście czy więcej – nadal stała w drzwiach a on, zmieszany i próbujący rozpaczliwie w myślach dopasować tę twarz do jakiejś znanej mu osoby, nie pomyślał o tym, by poprosić, aby usiadła.

- Dwadzieścia trzy lata. Przepraszam, z kim mam przyjemność?

- Dwadzieścia trzy lata – powtórzyła jak echo – Wszyscy się pozmienialiśmy przez ten czas.

Pozwolisz, że usiądę? Nie będę przecież tak stać w progu jakbym na wesele przyszła prosić.

- Ależ proszę, proszę. Przepraszam, gapa ze mnie.

- Emilu, widzę, że mnie nie poznajesz. Jestem Hanka Jezierska.

Nagły błysk zrozumienia – no tak, ten uśmiech przecież znał. Tak samo uśmiechał się jej brat Józek.

- Mała Haneczka Jezierska, siostra Józia i Jasia! No coś takiego! Nigdy bym cię Haniu nie poznał, naprawdę. Myślę, że mi to wybaczysz. Kiedy wyjeżdżałem miałaś jakieś sześć, siedem lat, zgadza się?

- Prawie – zaśmiała się, nie wiedząc, czy usiąść, czy się przywitać.

- Patrz jaki gapa ze mnie. Najpierw, zamiast zaprosić do środka, abys usiadła to stałem i gapiłem się na ciebie jak ciele na malowane wrota, a teraz, zamiast się z tobą przywitać, to gadam.

Najpierw poczuł ciepłe pocałunki na świeżo wygolonej twarzy i pomyślał, że dawno nikt się z nim tak nie witał. Nie chodziło mu o to, że całowała go kobieta, ale o to, że usta dotykały policzka, tak jak witali się ludzie dawniej. Teraz jest moda na cmokania w powietrzu. Poczuł delikatny zapach dobrych perfum i pomyślał, że rzeczywiście wiele się w kraju zmieniło, jeżeli kobiety używają takich perfum.

- Usiądź proszę Haniu – odsunął jej krzesło i zanim usiadła, ocenił, że ma zgrabną figurę w idealnie dopasowanej jasnej sukience, na co wcześniej nie zwrócił uwagi.

- Może przeszkadzam?

- Nie, nie! Jak widzisz, próbuję się jakoś urządzić, na razie z marnym skutkiem – zaśmiał się – Może napijesz się kawy? Brazylijska, nie te nasze, nie wiadomo skąd.

- Powiem ci, że jak tylko otworzyłam drzwi, to mi tak kawą zapachniało, że teraz z chęcią bym się napiła. Pijąc kawę wypytywali się, to o życie tu na miejscu, wiejskie, powolne, to o rejsy w najdalsze zakątki świata, wielkie miasta, których Emil miał już dość i pragnął zaszyć się gdzieś w ciszy, z dala od ludzi, a ona, spragniona dużych miast, wypytywała, jak się tam żyje. Patrzyli na siebie ponad stołem i nie mogli się nadziwić, że to już tyle lat minęło od ostatniego spotkania. Spoglądał w jej ciemne oczy, w których przebijały jakieś tajemne błyski i myślał, że widział tyle pięknych kobiet, ale żadna z nich nie miała tego czegoś co uchwycił w jej spojrzeniu.

- Co u braci? – zapytał, upijając łyk kawy. Słodko gorzkawy napój kojarzył mu się, nie wiedzieć czemu,

nie z Brazylią, w której gościł kilkakrotnie, ale z Grecją. Mieli kiedyś nieprzewidziany postój na Krecie. Naprawa silnika trwała dłużej niż planowano, ale on nie narzekał, zwiedzał w tym czasie wyspę i nigdy nie zapomniał, jak zabrakło mu paliwa w wynajętym Suzuki Samuraju. Siedział przy drodze zrezygnowany i myślał, że przyjdzie mu tu, na tym pustkowiu nocować, kiedy w zapadającym ciemnościach dostrzegł światła nadjeżdżającego auta. Krzepki staruszek mówiący dobrze po angielsku wyciągnął linę z paki starej, zdezelowanej półciężarówki i zaholował go do wioski, gdzie mógł kupić nieco paliwo. Potem siedział wraz ze staruszką i jego przyjaciółmi w małej tawernie nad brzegiem morza i jedli maleńkie smażone rybki, fetę, oliwki, zapijając to retsiną, którą pił z dodatkiem sprita.

Wracał potem według mapy, którą rozrysowali mu przyjaciele staruszka, ale mniej więcej w połowie drogi zatrzymał się, zgasił światła, wyłączył silnik i wysiadł z auta. Cisza, ale to taka cisza, jakiej nigdy przedtem, ani potem nie słyszał. Nad głową atrament nieba i gwiazdy, rozsypane, jakby siewca niestrudzony każdej nocy wychodził i je wysiewał a one wdzięczne, w podzięcie błyszczały i mieniły się jak brylanty. Daleki odgłos silnika kutra rybackiego przywrócił go do życia, a może to głos Hani:

- Fajnie się było spotkać po tylu latach, ale muszę już iść.
- Naprawdę musisz już iść? – ocknął się zły na siebie, że zamiast słuchać dziewczyny, to wspominał jakieś odległe czasy.
- Niestety, wiesz jak jest na gospodarstwie, zawsze jest co robić.
- Spotkamy się jeszcze Haniu?

Sam nie wiedział czemu to powiedział. Właściwie chciał zapytać, czy może ich odwiedzić, spotkać się z jej braćmi, zaprosić kiedyś do siebie, jak już trochę się urządzi, żeby posiedzieć i powspominać dawne czasy.

Zaśmiała się.

- No przecież zapraszałam cię do nas na sobotę. Zapomniałeś, że to imieniny Józefa, twojego serdecznego przyjaciela z dzieciństwa?
- No tak. Dwudziesty drugi lipca – uderzył się otwartą dłonią w czoło.
- Tak mnie słuchałeś – znów się zaśmiała.

Manuel del Kiro

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Manuel del Kiro, dodano 11.07.2021 20:29

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.